Londyn, dnia 22.czerwca 1945 r.

B I U L E T Y N · P R A S O W Y

nr [5]

/Swiatpol/

PENETRACJA SOWIECKA NA BLISKIM WSCHODZIE.

Teren Bliskiego Wschodu jest widownią rosnącej ekspansji sowieckiej,starającej się podważyć wpływy brytyjskie.

Taktyka sowiecka,która od czasu konferencji teherańskiej zmieniła swe cele i metody,coraz bardziej akcentuje poparcie udzielane Arabom, a trzyma się z wielką rezerwą wobec Żydów. To kokietowanie Arabów zmusza W.Brytanię do licytowania się z Rosją o wpływy nad światem muzułmańskim przez popieranie planów federacji arabskiej, co siłą rzeczy odbywa się kosztem interesów żydowskich. W odpowiedzi na taką politykę,czynniki żydowskie w Palestynie coraz bardziej oglądają się na poparcie z zewnątrz. Elementy bardziej zradykalizowane tworzą organizacje terrorystyczne typu bandy Sterna. Ponieważ Sowiety zarzucają coraz bardziej swą anty-sjonistyczną politykę,powoduje to,iż zyskują one sympatie dotychczas tradycyjnie prorosyjskich sjonistów.

Ta nowa taktyka Kremla powoduje pozatym ujemne skutki w stosunkach anglo-amerykańskich, a to na skutek poparcia udzielonego dążeniom sjonistycznym przez znaczne odłamy opinii publicznej Stanów Zjednoczonych.

W marcu 1945 w wypowiedziach komunistycznych czynników palestyńskich nastąpił zwrot bardzo charakterystyczny. Wbrew dotychczasowej antysjonistycznej linii wszystkich partii komunistycznych Bliskiego Wschodu,partia komunistyczna Palestyny opowiedziała się teraz za emigracją Żydów,otwarcie atakując kolonialną politykę Anglii,oskarżając ją o kolejne wygrywanie przeciwko sobie interesów żydowskich i arabskich z jedynym celem na oku - utrzymania kontroli Bliskiego Wschodu.

Niemniej charakterystyczny jest odcinek ormiański,gdzie Sowiety propagują ideę "Wielkiej Armenii" pod protektoratem Rosji. Do poselstwa sowieckiego w Bejrucie przydzielony został w połowie 1944 roku urzędnik pochodzenia ormiańskiego Agaranow /Oharonian/; zadaniem jego jest koordynacja polityki ormiańskiej na całym Bliskim Wschodzie. Pozatym delegat sowieckiej Armenii,prof. Abrahamian,odbył w końcu 1944 roku podróż propagandowo-informacyjną po terenie Lewantu.Biskup Sarojan z Bejrutu zaproszony został na stanowisko rektora seminarium duchownego w Erywanie,a jednocześnie na maj 1945 r.zapowiedziane zostały wybory katolikosa Armenii,jako gest podkreślający rzekomy dalszy wzrost tolerancji religijnej władz sowieckich. Komunistyczne wydawnictwa w języku ormiańskim,kolportowane na Bliskim Wschodzie,liczą około 70 tytułów.Jednakże Ormianie tureccy są po dawnemu nieufni,nie wierząc w szczerość intencji sowieckich, a Rosję uważają za gorszego asymilatora niż Turcję. Jednakże Sowiety propagują coraz energiczniej likwidację panowania tureckiego oraz przypominają niedotrzymane przez Aliantów obietnice stworzenia niepodległego państwa ormiańskiego po ubiegłej wojnie.

Równocześnie z tą akcją propagandową Sowiety dążą do zupełnej likwidacji organizacyj ormiańskich w zasięgu sowieckim. I tak np. w Atenach zostali zamordowani przez agentów sowieckich dwaj przebywający tam przywódcy ormiańscy, a w Bułgarii aresztowano i wywieziono do Rosji wszystkich działaczy ormiańskich.

Dalszą charaketrystyczną cechą rozrostu wpływów sowieckich na terenie Lewantu,jest używanie jako narzędzia politycznego poszczególnych cerkwij prawosławnych,oraz próby przyciągnięcia ich i związania z Moskwą. Na wybory patriarchy moskiewskiego przybyło osobiście dwóch patriarchów wschodnich:aleksandryński i damasceński i konstantynopolitański wysłali swych delegatów.Wybór arcybiskupa Aleksego,metropolity Mikołaja,posłusznego narzędzia Kremla, komentowany być może jako objaw wzrostu niezależności cerkwi prawosławnej,

jednakże należy podejrzewać,że jest to przemyślane,taktyczne posunięcie polityki rosyjskiej dla zamydlenia oczu zagranicy.Kierownicy państwa sowieckiego,zdecydowawszy się raz na nową politykę posługiwania się dla swych celów prawosławiem, prowadzą je z konsekwencją i rozmachem.Nowi biskupi prawosławni wyświęcani są masowo w tempie iście stachanowskim.Na wyborach Sergiusza było ich 17, na jego pogrzebie już 35, a w marcu 1945 liczba ich doszła do 50. Cerkiew prawosławna zaczyna grać swą dawną rolę w polityce Rosji; nie będzie to bez wpływu na jej politykę bałkańską i lewantyńską.

Tak więc sytuacja na Lewancie na przedwiośniu 1945 charakteryzuje się rozgrywką brytyjsko-sowiecką o uzyskanie wpływów nad światem arabskim,aktywizacją ormiańskiej polityki Sowietów oraz odrodzenia cerkwi prawosławnej,jako narzędzia polityki rosyjskiej.

M.K.Dziewanowski.

POLONIA ZAGRANICZNA POD WZGLĘDEM SPOŁECZNO-GOSPODARCZYM.

Zastanawiając się nad charakterem społeczno-gospodarczym Polonii,jako pewnej całości,obejmującej około 9 milionów ludzi rozrzuconych po całym świecie,należy przeprowadzić pewien podział zasadniczy, wskazujący na istnienie trzech grup wśród Polonii Zagranicznej o odrębnej strukturze społeczno-gospodarczej.

Do pierwszej grupy należą Polacy zamieszkali na tak zwanych terenach przygranicznych,a więc ci, którzy zostali w roku 1918 odcięci od Macierzy kordonem granicznym,który zostawił poza terytorium państwa polskiego ziemie zamieszkałe od wieków przez ludność polską. Należą tu także ci Polacy,którzy opuścili etnograficznie polskie ziemie w czasach ekspansji kulturalnej i politycznej Polski. Odcięci zostali od Macierzy kordonem granicznym przede wszystkim Polacy na Śląsku Opolskim,Pomorzu i Prusach Wschodnich. Jako trwała pozostałość po dawnej ekspansji politycznej i kulturalnej prowadzonej przez Polskę w czasach jagiellońskich na wschód, osiedlili się Polacy w Litwie,Łotwie, w Estonii i Rumunii, Białorusi i Ukrainie. W okresie porozbiorowym pojawił się także na terenie Rosji nowy element polski, głównie inteligencji,udający się w celach zarobkowych i pionierskich przeważnie na Syberię i w głąb Azji,oraz zesłańcy. Liczba tych ostatnich powiększyła się wydatnie w ciągu obecnej wojny.

Z punktu widzenia społeczno-gospodarczego ludność polska na Śląsku Opolskim,niemieckiej części Pomorza,w Prusach Wschodnich,Bukowinie,Litwie,Łotwie - to ludność od dawna tam osiadła i nie może być traktowana jako emigranci. Związana jest ona tradycyjnie i historycznie z ziemią,którą zamieszkuje,oraz walczy wytrwale ze wszystkimi zakusami wynarodowienia i zepchnięcia jej na najniższe szczeble społeczne.

Do drugiej grupy należy zaliczyć emigrację gospodarczą, to znaczy tych ludzi,którzy opuścili Polskę w poszukiwaniu chleba i pracy.Rozsypali się oni po całym świecie.Od połowy XIX wieku zaczęli opuszczać swą ojcowiznę,idąc tam - gdzie rozwój gospodarczy tego czy innego kraju obiecywał im dobrobyt i lepsze warunki życia dla nich samych i ich rodzin.Niezależnie jednak od tego jakiej pracy imali się na obczyźnie,pochodzili oni głównie z przeludnionej i biednej wsi polskiej. W przeciwieństwie do pierwszej grupy,ludzie ci,pomimo upływu czasu, odczuwają w poważnym stopniu obcość środowiska,myślą o powrocie do Polski, a wsiąkanie ich w nowe społeczeństwa nie postępuje łatwo i bez tragicznych konfliktów. Na obczyźnie zaczynali przeważnie od najcięższej i najgorzej płatnej pracy fizycznej,ponieważ nikt się nimi nie opiekował /państwa polskiego jeszcze wtedy nie było/, a oni sami nie znali języka, nie znali miejscowych stosunków,nie mieli wyrobionych przewodników. Stąd wiele tragedii,wiele zawodów i niepotrzebnych śmierci,ale ludzie ci w swej masie wytrwali i choć sami emigranci już często szczęśliwszej doli nie doczekali się,to jednak ułatwili zdobycie jej swym dzieciom i wnukom, przeważnie już na obczyźnie urodzonym.Ale zarazem swą zawziętością,taką na jaką tylko Polak może się zdobyć,swym trudem,który zdawał się często ponad siły ludzkie,swym poświęceniem i ofiarą życia przyczynili się do rozwoju gospodarczego Ameryki Północnej i Południowej, do rozwoju przemysłu we Francji,Belgii,Luksemburgu,Westfalii,przemysłu naftowego w Indiach Holenderskich,lub wskazali nowe drogi społeczeństwom amerykańskich przez swą działalność kolonizatorską i pionierską.

Trzecia grupa powstała na skutek obecnej wojny. W jej skład wchodzą uchodźcy, którzy opuścili Polskę po klęsce wrześniowej, ludzie deportowani w głąb Rosji, a rozporoszeni po świecie, po jej opuszczeniu, wywiezieni przymusowo na roboty przez Niemców itp. Ta grupa wyraźnie różni się od obu poprzednich nie tylko swoim własnym charakterem, ale i stosunkiem do tych społeczeństw, wśród których żyje. Przede wszystkim nie poszła ona w świat w poszukiwaniu pracy, ale została rzucona przez przemoc. Historia tego uchodźtwa łączy się ściśle z wojną, a jego, przyszłość będzie zależała od układu stosunków po jej zakończeniu.

Z pośród wymienionych grup, najliczniejszą jest emigracja gospodarcza i ona też zasługuje przede wszystkim na bliższe omówienie ze względu na swój charakter typowego wychodźtwa.

W każdym kraju warunki życia i pracy są inne, nawet w tym samym zawódzie. I tak np. rolnik w Danii, gdzie kultura rolna stoi bardzo wysóko, posiadający cztery morgi gruntu, należy do ludzi o pewnej zamożności. W Brazylii natomiast rolnik - jeśli chce uchodzić za zamożnego - musi posiadać duży płat ziemi, ponieważ tam uprawa roli łączy się ściśle z trzebieniem i paleniem lasu, a gospodarka nie dąży do utrzymania wydajności posiadanej ziemi. Robotnik, czy górnik inaczej żyje i pracuje we Francji, a inaczej w sąsiedniej Belgii, nie mówiąc już o różnicy występującej w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi, czy wierceniem nafty na Borneo i Jawie. Emigrant musi się przystosować do nowych warunków, które różnią się w każdym kraju, a są najczęściej całkowicie odrębne od sposobu pracy i życia w Polsce. Nie jest też rzeczą rzadką, że tam, gdzie są większe skupienia polskie, jak w Stanach Zjednoczonych, czy we Francji, ludność polska żyje swoim odrębnym życiem w jednej dzielnicy miasta, mając tam nie tylko własne szkoły i kościoły, lecz i sklepy, w których można kupić takie artykuły żywnościowe i inne, do jakich ci ludzie byli przyzwyczajeni w Polsce.

Emigrant polski rozpoczął swój pobyt na obczyźnie od ciężkiej fizycznej pracy. Ale dotychczas ten stan naogół się nie zmienił. Jedynie Polonia w Stanach Zjednoczonych potrafiła wytworzyć pewną ilość - ale stale jeszcze niedostateczną - własnej inteligencji. Nie jest to zresztą takie proste, ponieważ chcąc uzyskać wyższą pozycję społeczną w świecie np. amerykańskim, trzeba skończyć tamtejszą szkołę wyższą i praktycznie wejść w tamtejsze społeczeństwo. To też często dla polskiego emigranta, czy jego dzieci, stanowi to trudny problem, nie tylko dlatego, że ciężka praca zarobkowa utrudnia zdobycie wykształcenia, ale głównie dlatego, że pociąga za sobą przejście ze środowiska polskiego do amerykańskiego, co nie powinno w zasadzie pociągać za sobą amerykanizacji. W praktyce jednak wejście do środowiska amerykańskiego, szczególnie dla ludzi urodzonych w Ameryce, i równoczesne zachowanie polskości, nie zawsze jest łatwe. Środowisko amerykańskie jest zresztą bardzo atrakcyjne dla dzieci emigrantów polskich, które chodzą do szkół amerykańskich, należą do amerykańskich organizacyj, drużyn sportowych itp. Na tym tle istnieje proces wsiąkania Polaków w społeczeństwo amerykańskie, wytwarzając tam nowe pojęcie: Amerykanów polskiego pochodzenia.

Należy też podkreślić, że emigranci, którzy zaczynają jako robotnicy, po pewnym czasie dorabiają się i starają usamodzielnić przez założenie własnego sklepu, warsztatu, czy jakiegoś przedsiębiorstwa. Jednak taki kupiec czy rzemieślnik ogranicza się bardzo często przeważnie do własnego środowiska emigranckiego, otwiera swój zakład w swym otoczeniu i liczy głównie na klientelę emigracyjną. I tu też istnieją trudności przy wypłynięciu na szersze fale życia gospodarczego danego kraju, trudności wynikające tak z konkurencji, jak i niedostatecznego dostosowania się do warunków tam istniejących. Wogóle emigranci polscy odczuwają brak Polski w swym życiu codziennym i brak ten, choć w części starają się sobie zastąpić przez trzymanie się razem w pewnej odrębności od otaczającego ich świata. I dlatego wyjście po za własne emigranckie środowisko jest dla nich tak trudne.

Stała myśl o "Starym Kraju" nie opuszcza emigranta nawet w dziedzinie tak blisko związanej z nowymi warunkami życia istniejącymi na obczyźnie, jaką jest dziedzina społeczno-gospodarcza. Emigrant zawsze myśli o powrocie do Kraju, na ten cel składa pieniądze i wysyła swe oszczędności do Polski, co jest najlepszym dowodem jego ścisłych związków z Polską. Dopiero z czasem, w miarę narastania pokoleń, chęć powrotu do Polski słabnie

Obecna wojna wywarła głęboki wpływ na serca i umysły Polonii Zagranicznej,powodując głęboki nawrót do polskiego samopoczucia. Dlatego też w tym najtragiczniejszym dla Polski momencie historii, można z całym zaufaniem budować na Polonii Zagranicznej,która dała tyle pięknych dowodów solidarności i pomocy dla Polski. Nie po raz pierwszy zresztą w chwili potrzeby Polonia Zagraniczna nie zawiodła Kraju swych ojców. Nie zawiedzie i teraz.

J. M.

KRZYŻ WALECZNYCH MAURYCEGO LIPSZYCA.

Maurycy Lipszyc jest dziennikarzem,członkiem Związku Dziennikarzy R.P.-Karierę wojskową miał jednak znacznie trudniejszą, aniżeli "karierę" dziennikarską.Przez długi okres wojej wojennej służby dochrapał się jedynie jednej belki starszego strzelca.

Byli tacy, którzy widząc Lipszyca w kancelarii koszar W.P. w kanadyjskim Windsorze mówili:"Ten to już do Anglii nie popłynie. Zadekuje się tutaj do końca wojny." Lipszyc jednak do Anglii popłynął. A z Anglii - mimo kilku konkretnych propozycyj pozostania za biurkiem w Londynie - popłynął z Dywizją na kontynent.

Widziałem go przez chwilę po wyładowaniu na wybrzeżu w Normandii. Obładowany jakimiś wykazami i papierami pocił się nad sprawami swojej kompanii.Zdążył mi tylko powiedzieć,że jest w dziewiątym Batalionie,który w parę miesięcy potem stał się sławny jako Batalion Strzelców Flandryjskich.

Po raz drugi spotkałem Lipszyca przed paru dniami na ulicy w Londynie.Wlókł się z laską w ręku,powłócząc prawą nogą. Był blady i wymizerowany,jak siedem nieszczęść.

- Gdzie Cię tak urządzili? - spytałem.

- Pod Caen. Nie miałem szczęścia.Na czwarty dzień mnie dostało.Dopiero wczoraj wyszedłem ze szpitala...

- Co u tą nogą?

- Jest,tylko trochę dosztukowana.Kość była zupełnie strzaskana i myślałem, że utną. Ale teraz cuda robią w szpitalach.Wstawili zamiast kości trzynaście centymetrów metalowej rurki.Jakoś się trzyma, tylko w kostce cholera nie chce się zginać. Mówią,że może za dwa lata rozchodzi się...

Na ławce w Green Parku potoczyła się żywsza rozmowa. Słuchałem opowiadania Lipszyca,wracając pamięcią do krwawych dni sierpniowych,znaczonych kilometrami drogi Caen-Falaise.

- Pamiętasz lasek koło Soignolles? - mówił Lipszyc. - Tam wlazła nasza kompania na trzeci dzień. Niemcy wywieli,od czasu do czasu tylko grzała po lasku artyleria i moździerze. Ale zakopaliśmy się w ziemi solidnie,strat wielkich nie było. Tylko głód i zmęczenie dokuczały nam najbardziej. Nie mogli nam dowieźć wyżerki,bo Niemcy prali po wszystkich drogach, a my trochę za bardzo rozpędziliśmy się...Wody też nie było.Tyle tylko,ile posmakować.

... Ale noc minęła jako tako.Rano miały podciągnąć do nas pe-pance, bo w pobliżu kręciły się "Panthery" i "Tygrysy". To też jak tylko zaświtało zaczęliśmy się rozglądać za pe-pancami. I wtedy właśnie... Niemcy rozpoczęli przeciwnatarcie.

Bardzo szybko zorientowaliśmy się,że nie damy rady bez ciężkiej broni przeciwpancernej. Na przedpole wylazły właśnie te "Panthery" i "Tygrysy".Zanim doszły do nas - cały lasek zasypany został pociskami artylerii. Kilku naszych odrazu poszło na tamten świat.Trzeba było wycofać się z lasku...

Zaczęliśmy wycofywać się pod ogniem.Zresztą, co tu gadać o "wycofywaniu się".Poprostu trzeba było wiać,albo "odskoczyć" do tyłu. Ale ja byłem już tak zmęczony,że nie mogłem nadążyć za innymi. No i trochę pozostałem w tyle.

Wtedy właśnie rąbnął koło mnie moździerz.Zwaliłem się odrazu. Dostałem w obie nogi.Jak spojrzałem na prawą,to nie byłem pewien,czy jest,czy też tylko but na porwanych spodniach się trzyma. Lewa noga tylko krwawiła.

Wtedy właśnie przeleciał koło mnie Gromadkiewicz,zecer z "Dziennika Żołnierza",który dziś chodzi już bez nogi...Zawołałem go.

Zatrzymał się i chciał mnie wziąć na plecy,ale nie mógł dać rady. Zupełnie chłopak stracił siły. Powiedziałem mu wobec tego,żeby nie marudził przy mnie,ale biegł dalej i powiedział w kompanii,że jestem ranny. Wobec tego Gromadka pobiegł,a ja zostałem sam.

Dopiero wówczas strach mnie wziął,jak wszyscy diabli. Zamiast założyć sobie opatrunek tymczasowy - zacząłem czołgać się na łokciach.Przeczołgałem się jakieś dwieście metrów i ... zupełnie straciłem siły. Wówczas dopiero przypomniałem sobie o opatrunku. Założyłem go w końcu jakimś cudem i zdołałem doczołgać się do jakiegoś krzaczka.

Pod tym krzaczkiem przeżyłem dwie najstraszniejsze godziny mego życia.Niemcy zajęli lasek i przeszukiwali kieszenie naszych poległych.Słyszałem wyraźnie ich głosy...Byłem pewien,że jak mnie zobaczą - polskiego żołnierza i w dodatku Żyda - zastrzelą bez dyskusji.

Robiąc coś w rodzaju rachunku sumienia,uświadomiłem sobie,że mam w kieszeni szyfry i kryptonimy na następny tydzień,przesłane z Dowództwa Dywizji.Gdyby Niemcy znaleźli przy mnie te szyfry - mogliby z łatwością odcyfrowywać wszystkie meldunki i rozkazy radiowe.Trzeba było zniszczyć szyfry.

Zapałek nie miałem.Porwany i rozrzucony papier zwróciłby napewno uwagę.Wobec tego postanowiłem połknąć kilka cienkich kartek bibułki ryżowej.

Gdybym nie miał zeschniętego gardła - pewnieby ta bibułka przeszła. Ale tak - utknęła mi w gardle. Ani wprzód - ani w tył. Myślałem, że się chyba uduszę.Były to piekielne męki. Połknąłem ją wreszcie,wsadzając palec do gardła i masując gardło ręką.

Kiedy już straciłem wszelką nadzieję na ratunek - na pełnym gazie zjawił się nasz kariers. Niemcy otworzyli ogień z jakiegoś karabinu maszynowego,nasi też puścili kilka seryjek.Z kariersa dobiegło mnie wołanie:

- Lipszyc! Lipszyc!

Wyciągnąłem chusteczkę,zacząłem krzyczeć.Zanim Niemcy zorientowali się o co chodzi - już byłem na kariersie.Kilka seryj przeszło nad głowami,ale na szczęście za wysoko.

Tak zostałem uratowany.Gromadkiewicz zawiadomił.A kariersem przyjechało po mnie dwóch żołnierzy,którzy zgłosili się na ochotnika. Jeden z nich,podchorąży - znany był w Warszawie jako działacz tak zwanej "endeckiej" Bratniej Pomocy na U.J.P.,antysemita z "czarnym podniebieniem". Dziś już nie żyje. Zginął w kilka dni potem.

Lipszyc skończył swoje opowiadanie, rozpiął płaszcz i sięgnął po papierosa.

Wówczas dopiero spostrzegłem na jego battle-dressie Krzyż Walecznych.

Oto historia z tak zwanej "pierwszej linii frontu". Z tej linii, gdzie zatraciły się od dawna wszelkie przedziały społeczne, wszelkie problemy polityczne czy rasowe,wbrew temu,co o polskim wojsku na obczyźnie głosi wroga nam propaganda.

Dlatego na drodze do wolnej,całej i niepodległej Polski można również znaleźć niejeden grób polskiego żołnierza, który z pochodzenia był Żydem.

Ryszard Kiersnowski.

PENICYLINA NA PIASKU

/Korespondencja własna P.A.P."Swiatpol"/

W Egipcie, w El Kantarze nad Kanałem Suezkim, na piaskach pustynnych,znalazł pomieszczenie w barakach i namiotach jeden z polskich szpitali wojennych.

Szpitale wojenne na piaskach pustynnych nie są rzadkością na Srodkowym Wschodzie i z tej racji szpital polski nie zasługiwałby na szczególną uwagę. A jednak jest szpital ten wyjątkiem wśród wszystkich szpitali wojennych na Srodkowym Wschodzie,czy to mieszczą się one w murowanych gmachach,czy tak jak szpital polski w barakach i namiotach wkopanych w piasek.

Jest wyjątkiem,gdyż jest jedynym szpitalem wojennym na tym terytorium,produkującym ów słynny od paru lat nowy środek leczniczy: penicylinę.

Wydano już szereg publikacyj na temat produkcji tego wspaniałego wynalazku nowoczesnej medycyny,publikacyj ozdobionych znakomitymi fotografiami imponujących zakładów,laboratoriów i urządzeń, wśród których uwijają się setki na biało ubranych ludzi,pracujących nad wydobyciem z pożywki,na której rozwija się pogardzana do niedawna pleśń "penicilium notatum",środka, mogącego uratować życie tysiącom ofiar wojny.

W polskim szpitalu wojennym w El Kantarze nie ma nowoczesnego laboratorium,nie ma przedziwnych lśniących urządzeń. Jest skromny barak na piasku.W tym baraku produkuje się penicyliny tyle, że wystarcza nie tylko na własne potrzeby,ale także na zaopatrzenie innych ośrodków leczniczych na Srodkowym Wschodzie.

Oczywiście w warunkach,jakie stworzyć można w laboratorium na piasku,nie można uzyskać czystej krystalicznej penicyliny służącej do zastrzyków. Uzyskuje się t.zw.penicylinę surową,używaną do okładów.

Historia produkcji polskiej jest prosta.W początkach 1944 r. w jednym z wojennych szpitali polskich na terenie Palestyny postanowiono rozpocząć próby nad własną produkcją nowego środka. Od prof. Florey uzyskano dwa szczepy, z którymi rozpoczęto prace doświadczalne. Szpital wkrótce musiał opuścić Palestynę,wyjeżdżając wraz z wojskiem polskim. Rozpoczęte prace podjął wówczas szpital w El Kantarze,uzyskując wkrótce,bo już w maju 1944, pierwsze owoce swych prac. Początkowe warunki pracy były ciężkie.Laboratorium,w którym rozwija się pleśń,posiadać musi stałą temperaturę. W warunkach klimatycznych Egiptu jest to rzecz trudna,wymagająca ciągłego ogrzewania, czy też - częściej - chłodzenia laboratorium. Ułatwiły sprawę sprowadzone termostaty utrzymujące stałą temperaturę 21 stopni. W wyniku szeregu doświadczeń stworzono własne nowe metody oczyszczania i stężania penicyliny.

Laboratorium nie zatrudnia wielu ludzi - zaledwie dwu : lekarza i inżyniera-chemika.Kierownikiem laboratorium jest dr.Odrzywolski.Niedawno bawił on w Wielkiej Brytanii w jednym z największych ośrodków produkcji penicyliny. W czasie swego tam pobytu omówił z fachowcami brytyjskimi i porównał własne doświadczenia i udoskonalenia metod produkcyjnych.

Dzisiejsza jednorazowa produkcja "laboratorium na piasku" wynosi około 40 litrów surowej penicyliny,którą,jak wspomnieliśmy, używa się do okładów. W szczególnie silnie stężonej formie służy ona także do innych zabiegów, jak np. do pendzlowania gardła w wypadkach anginy. Egipt jest krajem,gdzie szczególnie jest wiele rozmaitych chorób oczu. Otóż doświadczenia wykazały, że zakrapianie stężoną penicyliną leczy niektóre choroby w bardzo krótkim czasie.

"Laboratorium na piasku" jest przedmiotem podziwu wielu fachowców.Jest ono równocześnie dowodem pomysłowości polskiej. Wśród wielu ośrodków leczniczych szpital polski był jedynym,który pomyślał o własnej produkcji środka,stanowiącego w lecznictwie postęp wprost rewolucyjny. Nie czekano i nie ograniczano się do ciągle niewystarczających przesyłek penicyliny z wielkich laboratoriów. Rozpoczęto własne doświadczenia i dały one doskonałe rezultaty.

Penicylina na piasku stanowi prawdziwy wyczyn Polaków świadczący, że na każdym polu potrafią oni dorównać innym narodom.

tkw

PO WALNYM ZJEZDZIE EMIGRACJI POLSKIEJ WE FRANCJI

W końcu maja 1945 r. odbył się w Paryżu Walny Zjazd Emigracji polskiej we Francji. Jednym z naczelnych zadań Zjazdu było wyłonienie reprezentacji wychodźtwa,któraby scementowała i uzgodniła wszystkie odłamy opinii w służbie dla Polski.

Zjazd wypracował również plany pracy organizacyjnej i kulturalno-oświatowej,oraz wypowiedział się na temat szeregu aktualnych zagadnień.

Zjazd Emigracji polskiej zwołał dwa istniejące we Francji organizmy życia polskiego, a mianowicie: Związek Polaków i Centralny Komitet Walki.

ZWIĄZEK POLAKÓW WE FRANCJI.

Związek Polaków we Francji powstał w 1938 roku na miejsce Rady Porozumiewawczej, utworzonej w 1933 r. Pierwszym prezesem Związku był ś.p. Stefan Rejer. Związek grupował w sobie 29 organizacji polskich we Francji i prowadził żywotną działalność organizacyjno-społeczną i kulturalno-oświatową. Z chwilą okupacji Francji, przywódcy Związku znaleźli się w południowej Francji w strefie t.zw. "nieokupowanej". Warunki pracy na tym odcinku Francji były znośniejsze do czasu, dopóki wojska niemieckie nie objęły i tej części w swe posiadanie. Od tego czasu rozpoczęło się krwawe prześladowanie żywiołu polskiego. Gestapo wraz z policją Vichy przeprowadzało obławy wśród skupisk polskich, aresztując wybitnych członków i wysyłając ich na ciężkie roboty do Niemiec.

W roku 1942 aresztowano Piotra Kalinowskiego sekretarza generalnego Związku, Franciszka Obrębskiego - kierownika oświatowego i redaktora "Poradnika oświatowego", oraz 19 innych członków Związku. W tym okresie zmarł z wycieńczenia i gnębiącej go choroby prezes Związku - Józef Szymanowski.

Pomimo tych ciosów Związek nie rozpadł się, jak przypuszczano, ale rozwijał w dalszym ciągu swoją działalność przy pomocy oddanych sobie ludzi. Wśród nich wybija się na pierwsze miejsce osoba Stefana Moszczyńskiego, który w zleconym przez śp. Szymanowskiego i p. Kalinowskiego "ostatnim" słowie bierze na swoje barki ciężar całej różnorakiej roboty związkowej i prowadzi ją z energią i wytrwałością.

6 czerwca 1943 r. zwołuje on w Lyonie tajne posiedzenie wszystkich przywódców Związku, którzy jeszcze pozostali na wolności i w drodze tajnego głosowania zostaje wybrany prezesem Związku p. Swi- talski, górnik z południowej Francji.

Pomimo przeszkód wszelkiego rodzaju działalność Związku prowadzona jest intensywnie. W okręgu Tuluzy zorganizowano 70 kursów czwartkowych i przedszkoli. Podtrzymano istniejące szkoły polskie. Organizowano kolonie i półkolonie dla dziatwy szkolnej. Roztoczono opiekę nad emigrantami przybyłymi z Polski po roku 1939, umieszczając ich w specjalnych bursach i schroniskach. Przy wydatnej pomocy P.C.K. założono gimnazjum polskie w Villard les Lans, a przy poparciu polskiej Y.M.C.A. bursę dla 42 chłopców.

Związek zapoczątkował pierwsze tajne wydawnictwo dla szerokich mas Emigracji /kolportowane nawet na północ Francji/ t.zw. "Biuletyn Informacyjny". Pozatem przez cały okres okupacji aż do maja br. Związek wydawał dwa miesięczniki "Polskie Pacholę" pismo dla dzieci i "Biuletyn dla młodzieży i jej przodowników". Związek dopomagał materialnie rodzinom polskim oraz prowadził dożywianie dla 1100 dzieci polskich.

I wreszcie, co trzeba specjalnie podkreślić, idea P.O.W.N. wyszła ze Związku i działacze związkowi stanowili pierwsze kadry tej tajnej organizacji polskiej we Francji.

CENTRALNY KOMITET WALKI.

W okręgach Nord i Pas de Calais zamieszkuje ponad 200 tysięcy Polaków skupionych na stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Posiadają oni już pewną ugruntowaną tradycję pracy społecznej i kulturalno-oświatowej, to też stanowili zawsze ośrodek dynamiczny życia polskiego we Francji.

Z chwilą zajęcia północnej Francji przez wojska niemieckie, działalność organizacyjna została zawieszona. Jedynie towarzystwa katolickie, jak: Bractwa różańcowe, chóry kościelne i t.d. prowadziły dalej swoją pracę w ograniczonym zakresie. Związek Polaków nie docierał tu swoimi wpływami, chociaż i na ten teren przybywał od czasu do czasu łącznik Związku, przywożąc dla nauczycielstwa polskiego pomoc pieniężną.

Charakterystycznym i godnym podkreślenia faktem jest, że nauczycielstwo polskie pozostało na swoich placówkach i pracowało przez cały okres okupacji, ucząc języka polskiego i podtrzymując ducha wśród starszego społeczeństwa. W ciągu 4-letniej okupacji czynnych było na terenie północnej Francji 19 przedszkoli i 37 punktów szkolnych.

Jak już wspomnieliśmy powyżej, życie organizacyjne w dawnym tego słowa znaczeniu zamarło. Volksdeutsche oraz agenci Gestapo zbyt pilnie obserwowali środowiska polskie; w każdej chwili mogli przeciwdziałać w sposób brutalny i bezwzględny.

Mimo to krzewiła się praca podziemna. Emisariusze P.O.W.N. przybyli z południowej Francji zaczęli skupiać Polaków najprzód w piątki, następnie w placówki, podokręgi i okręgi. Odbywało się tajne szkolenie bojowe. Wychodziła podziemna prasa. Oprócz P.O.W.N. prowadziła swoją działalność również tajna organizacja "Orła Białego", skupiająca starszych i wypróbowanych działaczy życia polskiego. Organizacja ta po rocznej działalności połączyła się w maju 1943 roku z P.O.W.N.

Praca i walka P.O.W.N. to osobny rozdział w historii emigracji polskiej we Francji. W ramach P.O.W.N. znalazły się wszelkie odłamy opinij i poglądów politycznych. Tworzyli tę organizację ludzie, dla których pierwszym celem była walka z niemieckim okupantem, będąca walką o Polskę.

W roku 1943, na wniosek Szefa Głównego P.O.W.N. Justyna /minister Kawałkowski/, powołano Centralny Komitet Walki, w skład którego weszli wybrani z pośród bojowników P.O.W.N. przedstawiciele prawie wszystkich organizacyj polskich we Francji.

C.K.W. miał stanowić tymczasowe ciało reprezentacyjne uchodźtwa polskiego na okres trwania wojny. Z chwilą uwolnienia Francji C.K.W. przystąpił do jawnej działalności, uchwalając i ogłaszając manifest, stanowiący niejako program pracy całego zorganizowanego wychodźtwa.

Dla usprawnienia administracji C.KW. powołał jeszcze w czasie okupacji okręgowe i miejscowe Komitety Walki, które natychmiast po uwolnieniu Francji przystąpiły do pracy.

Działalność C.K.W. obejmowała następujące działy:

<u>Dział propagandowy.</u> Jednym z najważniejszych działów pracy, prowadzonych przez C.K.W. była propaganda na rzecz Polski suwerennej, niepodległej i demokratycznej. Wydatną pomocą w tej akcji było pismo podziemne "Sztandar", które zaczęło wychodzić jawnie jako tygodnik od 1 września 1944 r., a 24 grudnia tegoż roku zostało zawieszone przez władze francuskie. Obecnie pismo to wychodzi znowu, władze francuskie jednak stale odmawiają zgody na uczynienie ze "Sztandaru" wydawnictwa codziennego.

Nie zrażając się licznymi trudnościami, C.K.W. wydaje szereg ulotek po polsku i francusku o nakładzie 150 tysięcy, oraz rozsyła do wpływowych osobistości francuskich t.zw. "Documenta" informujące o działalności armii i podstawach polityki polskiej. C.K.W. wydał również drukiem 10 broszur w języku polskim i francuskim w 40 tysiącach egzemplarzy.

W <u>dziale opieki społecznej</u> C.K.W. spieszył z pomocą naszym rodakom, opiniując wnioski o zapomogi i przesyłając je do władz państwowych i P.C.K.

Celem uzyskania pomocy dla starców, wdów i sierot, Zarząd C.K.W. wyjechał do Londynu, aby tam uzyskać poparcie dla tej sprawy u naszych naczelnych czynników.

<u>Pomoc dla Warszawy:</u> Staraniem C.K.W. społeczeństwo polskie w północnej Francji złożyło na Fundusz Warszawy 713 tys. franków.

J. M.

/Swiatpol/

<u>S W I T</u>

Z połysku morza i brzasku
Czarny się okręt wynurzył.
Jest cicho. Jakiś żołnierz w kasku
Myje pokład po burzy.

Mewy śpiące w zatoce.
Jakiś sztandar, co z lękiem łopoce.
A tam fale pienią się i garną
W bury kłąb za morską latarnią.

Powiew. W mieście syreny.
Ratusza błysnął szczyt.
Wysiadamy. Poco? Nie wiemy.
Jakież to okropne, znowu błyska świt.

Marian Czuchnowski.

/Swiatpol/

<u>"VICTORY DAY" NA MIEJSCACH POSTOJU W SZKOCJI</u>

Zakończenie działań wojennych na europejskim teatrze wojny święcone było w Szkocji, jak w całym zresztą Zjednoczonym Królestwie, dość szablonowo.

W Szkocji, gdzie znajduje się wielotysięczna rzesza żołnierzy polskich, dziwny i smutny kontrast wywoływało zestawienie zamkniętego w sobie Polaka w battledressie, a ludności miejscowej, dającej wyraz swej radości z okazji bezwarunkowej kapitulacji Niemiec.

Na budynkach zajmowanych przez dowództwa polskie w Szkocji, oraz na masztach obozowych miejsc postoju, wisiały flagi na znak "Victory-Day". W sercach jednak, w spojrzeniach i myślach - nie było pełni zwycięstwa. Zbyt ciężkie i zbyt krwawe wieści docierają do żołnierza z pod okupacji sowieckiej, by mógł on cieszyć się pełną radością z pokonania śmiertelnego wroga Polski - Niemiec.

Żołnierz polski w Szkocji zdaje sobie sprawę całkowicie, że droga, która się przed nim rozciągnęła jesienią 1939 roku, dotychczas jeszcze się nie zakończyła. Wie żołnierz doskonale, że czekają go duże wysiłki i że napewno przeżyje jeszcze sporo gorzkich niespodzianek, zanim będzie mógł stąpać bezpiecznie po swej świętej, polskiej ziemi ojczystej.

Przeświadczeniu temu dała wyraz prasa obozowa, w swych rozważaniach o "Victory Day".

W "Nowinach", piśmie 4 Dywizji Piechoty, znajdujemy w artykule S.B. p.t. "Dzień zwycięstwa" następujące uwagi:

"Dzień zwycięstwa nad Niemcami, naszego najzaciętszego wroga, jest częściowo dniem i naszego triumfu. Do ostatecznego pogromu Niemiec przyczyniliśmy się w dość dużym stopniu, walcząc wytrwale w Kraju i na obczyźnie, na lądzie, morzu i w powietrzu, ponosząc w tych walkach tak straszne ofiary, jakich nie poniósł żaden ze sprzymierzonych narodów. Niestety - "dzień zwycięstwa" nie jest i nie może być dla nas dniem radosnego uniesienia, dniem zakończenia bojowych trudów, gdyż to, w obronie czego schwyciliśmy za oręż, nie wypuszczając go z ręki przez przeszło 5 i pół lat, nie zostało jeszcze dzisiaj urzeczywistnione. Wolność nasza spowita jest w mgławicach międzynarodowych kombinacyj i jest dzisiaj przedmiotem zaciekłych targów, a jutro - może i zatargów. - Ku odzyskaniu pełnej wolności, najzupełniejszej samodzielnego i niepodległego niczyim wpływom postronnym bytu państwowego, jesteśmy jeszcze w drodze, na której napotkaliśmy już i napotkamy wiele trudności i przeszkód, lecz z drogi tej nic i nikt zawrócić nas nie zdoła - wytknięty cel osiągnąć musimy, bez względu na dalsze ofiary, jakie przyjdzie nam jeszcze złożyć.

"Ci, którzy zechcą utrudnić nam, lub przeszkodzić w osiągnięciu tego celu, winni wiedzieć o naszym jednolitym i zdeterminowanym stanowisku. Za dużo ofiar poniósł Naród Polski, i to jako jeden z narodów sprzymierzonych, aby z tej wojny mógł wyjść, jako naród pokonany".

W gazetach ściennych, wydawanych przez Dowództwo Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, ukazał się artykuł p.t. "Victory Day", w którym czytamy:

"Gdy rozradowana ludność miast szkockich tańczy na ulicach, my siadamy na pryczy, czy w kantynie i liczymy:

"Owoce zwycięstwa przedstawiają się dla Polski, pierwszej, wiernej do końca sojuszniczki, w sposób następujący:

"Polityczne - nie pozwolono nam wziąć udziału w konferencji państw sprzymierzonych w San Francisco. - Terytorialne - ofiarowano nam połowę naszego kraju Rosji Sowieckiej. W drugiej połowie rządzi ona również jak we własnym domu, a raczej własnym przedpokoju. - Gospodarcze - po rabunku niemieckim przyszedł rabunek rosyjski, i w Kraju panuje nędza gorsza niż kiedykolwiek.

"Poza tym ponad dwa miliony Polaków wywieziono na Sybir. - Poza tym mamy rosyjskie władze, rosyjskie sądy, rosyjskich oficerów, rosyjskie prawa i zwyczaje.

"Naprawdę, do radości powodów niema. Jest natomiast powód - więcej - obowiązek zamknięcia w sobie bólu, zaciśnięcia raz jeszcze zębów.

"Wojny nikt z nas nie pragnie, rozlewu krwi mieliśmy dosyć, ale nie wolno nam zaprzestać żądania sprawiedliwości. Broń raz do ręki wzięta, nie może być odłożona, zanim ostatni strzał padnie z rąk ostatniego żołnierza polskiego."

Biuletyn Informacyjny Służby Opieki, wydawany przez Wydział Opieki nad żołnierzem w Szkocji, pisze w numerze 12:

"Projektowana jako państwo tysiącletnie, hitlerowska Rzesza Niemiecka nie przeżyła trzynastego roku swoich własnych rządów i triumfów. Po podbiciu niemal całej Europy, po wymordowaniu milionów istnień ludzkich i spustoszeniu cudzych ziem - musiała przyjąć narzucony jej siłą akt bezwarunkowego poddania się. - Od dziesięciu stuleci ustawicznie przeżywamy najazdy, które niszczą nasz dobytek, rujnują pokolenia, ale - narodu w jego nieśmiertelnej woli trwania - zniszczyć nie są w stanie. - Jesteśmy, jako naród, poddani procesowi najazdów z niebywałą częstotliwością. Proces ten wyładowuje się na nas ciężarem wielkich potęg wojskowych i materialnych - równocześnie dobywa z nas poprostu imponujące siły duchowe, które podmurowują naszą wolę trwania w uprzednio nie ujawnionym zakresie i kierunku."

Dnia 17 maja 1945 roku, w cytowanych przez nas wyżej gazetach ściennych ukazał się interesujący artykuł p.t. "Znowu o starych prawach", z którego bierzemy najistotniejsze zdania:

"Na to, by świat mógł się odbudować z ruin i by dzieło pokoju nie zawiodło: wolność musi się stać prawem słabych, a nie być tylko przywilejem mocnych. - Bezpieczeństwo świata jest tak samo niepodzielne, jak i wolność narodów, świat zaludniających.

"Świat [illegible] podzielony na zagródki, w których, w jednych nikt nie pomyśli, by skrzywdzić zwierzę, i w drugich, gdzie ludzie będą przepędzani milionami ze wschodu na zachód i z południa na północ - musi zginąć i zawalić się ostatecznie w gruzach następnej katastrofy.

"Droga do wolności świata jest długa i ciężka. Na niej, i jedynie na niej, leży wolność naszego kraju. Iść nią będziemy oparci o naszą własną wiarę i na podstawie naszego własnego wewnętrznego nakazu. Sprawa wolności jest wielką sprawą."

Takie jest oblicze żołnierza polskiego w szkockich obozach i miejscach postoju oddziałów, po zakończeniu działań wojennych przeciwko niemieckiemu wrogowi na europejskim teatrze wojny.

Wawrzyniec Czereśniewski.

/Swiatpol/

PODSTAWY WOLNOSCI

Londyński tygodnik "Time and Tide", rozważając sprawy polskie, podkreśla fakt, że jest rzeczą konieczną dla uzyskania istotnej wolności w Polsce, spełnienie pewnych podstawowych warunków. Warunki te pismo londyńskie streszcza w takich oto punktach: wolność przemówień, prasy, zebrań; wolność zrzeszania się; usunięcie policji politycznej; wypuszczenie przywódców polskich aresztowanych w końcu kwietnia; zwolnienie Polaków wysłanych do Rosji i t.d.

Warunki te uzna każdy rzetelny obserwator za całkowicie rozsądne. Bez ich spełnienia niema mowy o wolności, o swobodzie wyboru. Bez ich spełnienia niema mowy o uczciwych wyborach. Bez ich spełnienia, powołana do życia władza będzie tylko marionetką w rękach obcego mocarstwa. Polska stanie się państwem lennym - a raczej, ponieważ jest obecnie wasalem Rosji, przejściowy stan lenny zostanie przedłużony w nieskończoność, uznany i usankcjonowany.

Oto jest sedno zagadnienia. Wszystko inne to tylko dodatki. Spór o takie czy inne oblicze polityczne, spór o to, czy reformę rolną należy przeprowadzać teraz, czy potem - są to rzeczy nieistotne. Istotne jest pytanie: czy będą stworzone warunki, w których swobodny rozwój Polski będzie zapewniony, czy też raczej usankcjonowany zostanie zabór, okupacja i całkowite wpływy obcego mocarstwa, co wszystko razem zmieni Polskę i wschodnią Europę w państwa lenne.

"Time and Tide", kładąc tak duży nacisk na zagadnienie policji politycznej, ma pełną rację. Albowiem nietyle groźna jest okupacja wojskowa, ile najazd policji politycznej. Ta dopiero policja jest przedstawicielem terroru, szykan, ona to zachęca do wzajemnego szpiegowania, donosicielstwa, ona tworzy piekło z ludzkich stosunków, ona kieruje deportacjami, ona zarzuca sieci na niewinnych, ona wyznaje zasadę skuteczności terroru i tortur.

Policje polityczne były zawsze ostojami państw totalnych, wszelakich dyktatur. Wiadomo bowiem dobrze, że bez policji politycznej nie może istnieć system dyktatury. Policja polityczna czuwa nad nastrojami społeczeństwa, ona nasila terror albo go osłabia, ona wyłapuje biernych czy opornych, ona przewiduje gdzie uderzyć, jakie ośrodki oporu wolnego człowieka ma zdławiać.

Niemiecka okupacja wojskowa nie była groźna dla substancji narodów Europy. Dopiero rządy policji politycznej wymierzyły ciosy w podstawy narodów. Policja polityczna zaludniała obozy koncentracyjne swoimi ofiarami. Policja polityczna była postrachem Europy.

Europa chce odpocząć od tego koszmaru. Ma ona dosyć nadzoru i szpiegostwa, ma ona dosyć nastroju kaźni. Policje polityczne są wrogiem numer 1 spokoju i ładu w Europie.

Zbigniew Grabowski.

/Swiatpol/

C Y R K

/według opowiadania H.T./

Czekam na powrót trzech dywizjonów myśliców polskich na lotnisku polowym niedaleko granicy belgijskiej. Zapada wieczór i chmurzy się, a lotnisko nie ma oświetlenia elektrycznego, bo prąd jeszcze nie doprowadzony. Jeżeli się spóźnią, będą lądowali wzdłuż lamp stajennych, ustawionych przy runway'u. To dość ryzykowne, zwłaszcza, że są pomiędzy nimi "freszery" - młodzi piloci, dla których jest to drugi lub trzeci lot bojowy w życiu... Niech się takiemu co przytrafi - rozłoży maszynę "na czynniki pierwsze", jak powiada nasz techniczny.

- Powinni lądować za cztery minuty - mówi Tomcio Paluch, który włada obsługą ziemną lotniska. - Chodźmy do "karawanu".

"Karawan nie jest bynajmniej środkiem lokomocji dla nieboszczyków, tylko schronieniem dla oficera startowego. Jest to buda na czterech kołach, wymalowana w białe i czarne pasy, żeby ją było zdaleka widać. Wewnątrz jest telefon połączony z miejscową stacją radio /łączność "ziemia-samolot"/ i z kierownictwem ruchu, które kolejno sprowadza samoloty na ziemię, również przez radio rozmawiając z załogami w powietrzu. "Karawan" stoi po stronie wlotu, na lewo od runway'u i stamtąd samoloty otrzymują sygnały przy lądowaniu lub przy starcie.

Dochodzimy z Tomciem do tego wehikułu, gdy ukazuje się pierwsza maszyna. Ale nie polska i nawet nie Spitfire, lecz amerykański Liberator...

Nawet się nie pyta, czy można, tylko siada i piszczy hamulcami, jak potępieniec. Za nim - drugi, trzeci, czwarty...

- Skąd ich diabli przynieśli? - pyta Romcio.

Okazuje się, że to benzynowy konwój powietrzny. Trzydzieści sztuk!... Tymczasem z "operation" przychodzi wiadomość, że to bynajmniej nie wszystko: za chwilę będzie lądowało jeszcze dziewięć "Typhonów".

Tomcio oblicza:

- Trzydziestu sześciu naszych, dziewięciu Anglików i dwadzieścia cztery Liberatory. Razem sześćdziesiąt dziewięć maszyn. No - będzie cyrk...

"Cyrk istotnie zaczyna się, i to natychmiast: właśnie ryczy nad lotniskiem pierwszy nasz dywizjon, robi jedno okrążenie i rozsypuje się połsusznie do lądowania pojedyńczo, jak brzmi rozkaz z Kierownictwa Ruchu. Jeden ze Spitfire'ów podchodzi, już wypuścił klapy i podwozie, gdy drogę przecina mu następny Liberator; tonie nad runway'em, siada mu przed nosem, piszczy na brutalnie wciśniętych hamulcach, i zadowolony, że ma ziemię pod kołami, toczy się wolno przez środek lotniska.

Tomcia zalewa tak zwana "zła krew".

- Trzymajcie tych Amerykanów w powietrzu! - wrzeszczy do telefonu, podczas gdy myśliwiec polski drze Spitfire'a w górę na otwartych klapach.

- To wygląda jak wniebowstąpienie - dodaje Tomcio, myśląc zapewno o dodaniu gazu przez Polaka. - Jak się chłopak "grobnie" - nie będzie co zbierać...

Istotnie Spitfire jest bliski utraty szybkości, ale przecież jakoś wyciąga. Pilot klnie przy tym straszliwie, jakby dla kontrastu z tym "wniebowstąpieniem". Słychać go przez głośnik w "karawanie" i z pewnością także w Kierownictwie Ruchu, skąd z kolei padają surowe ostrzeżenia pod adresem załóg amerykańskich.

Tymczasem nad lotniskiem wyje już kilkanaście innych Spitfire'ów, wszystkie Typhony i z dziesięć Liberatorów. Cyrk, jak się patrzy!.. Krążą na różnych wysokościach, przecinają przestwór nad lotniskiem w różnych kierunkach, jak wściekłe pszczoły nad ulem, do którego zatkano wejście. Kierownik Ruchu mówi przez radio, że Spitfire'y mają pierwszeństwo, bo kończy się im benzyna. Ale Amerykanie - piloci transportowi, którzy nie latają w nocy - boją się czekać. Jest już zmierzch i ciemność zapadnie lada chwila, więc raz po raz jakiś Liberator schodzi w dół i siada, uprzedzając myśliwców. Tomcio strzela mu przed nosem rakiety; co zresztą nie zawsze skutkuje, a nasi klną, aż trzeszczy. Tylko wysoko nad tą kotłowaniną, poważnie i spokojnie krążą trzy trójki angielskich Typhonów, które mają dość benzyny i angielskiej flegmy.

Ostatecznie jednak Kierownikowi Ruchu udaje się przekonać Amerykanów, że muszą stosować się do porządków, które u nas panują. Spitfire'y lądują kolejno i wszystko zdaje się iść jak najlepiej, gdy z głośnika odzywa się podniecony głos jednego z pilotów:

- Zacięła mi się dźwignia od podwozia. Nie mogę... nie mogę wysunąć.

- Popisowy numerek... - mówi Tomcio - Clou przedstawienia, psiakrew. To Minoga. Znasz Minogę?

Zaprzeczam: nie słyszałem takiego przezwiska.

- "Freszer" - wyjaśnia Tomcio. - To jego drugi lot bojowy.

Jednocześnie słyszę, jak major z Kierownictwa Ruchu uspakaja biednego Minogę:

- Nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze. Ile masz benzyny?

- Trzydzieści litrów - mówi chrapliwy głos.

- No, więc. Masz czas. Spróbuj jeszcze raz wysunąć podwozie. Tylko spokojnie...

- Kiedy nie rusza się. Nie, nie mogę.

- To nic wielkiego. Zaczekaj w powietrzu. Opróżnimy lotnisko i wyladujesz obok runway'u bez podwozia. Zaczekaj, aż ci powiem.

Tomcio telefonuje już do posterunków, ściąga samochody ciężarowe na bok, woła sanitarkę i wóz pożarowy, przygotowuje mu miejsce.

- O.K. Gotowe. Niech siada na północny wschód od runway'u.

Major wywołuje numer Minogi. Pilot zgłasza się i dostaje ostatnie instrukcje: kierunek, miejsce lądowania i - jak ma podchodzić.

- Tylko spokojnie, Minoga. Spokojnie. Żebyś nie zawadził o namioty u skraju lotniska, pamiętaj. No - over!

Jest już zupełnie ciemno. Z pomiędzy roju krążących nad nami świateł oddziela się jedno zielone i jedno czerwone. Schodzą w dół, zataczają łuk, płyną na wprost, zniżają się, zniżają... Drgnęły! Raz, drugi - zgasły...

- Siedzi - powiada Tomcio Paluch. - Następny do golenia.

Po chwili od strony runway'u wraca sanitarka, na szczęście - bez klienta, tylko z sanitariuszami. Pytamy, co z maszyną.

- Nawet nie uszkodzona - odpowiada jeden z nich. - Mechanicy mówią, że jutro poleci. Bardzo porządne lądowanie.

- Liberatory mogą siadać! - woła Tomcio. - Runway wolny!

Porucznik Herbert.